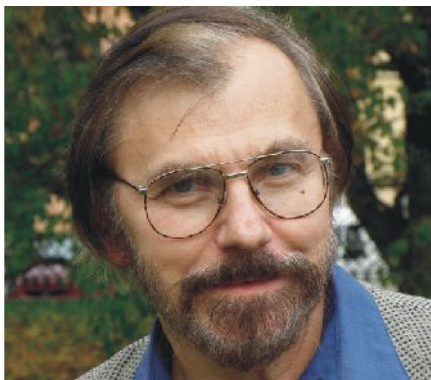


Listy do Pani A. (123)



Dwa tygodnie w raju

Droga Pani!

Choć już październik, to jeszcze wspomnienia lata są bardzo żywe. Poza tym w jednym odcinku nie można pomieścić wszystkiego, więc się rzeczy wydarzenia i refleksje kumulują się w pamięci; są więc w pewnym sensie „ponadczasowe”, bowiem samo wydarzenie przemija, ale jego klimat i wydźwięk pozostają.

Długo będzie w nas żyło spotkanie autorskie Jerzego Kronholda, na którym byliśmy z Anią we wrocławskiej „Mediatece”. Poszedłem z tym większą chęcią, ponieważ bywaliśmy razem z Kronholdem, przed laty, laureatami Łódzkiej Wiosny Poetów. Nie pamiętam, czy poznaliśmy się wtedy osobiście; nasze drogi były odległe, nie było więc może okazji. Śledziłem zresztą jego twórczość, która jest mi bliska ze względu na precyzję kompozycji, prostotę, oryginalną metaforykę. To przecież poeta mojego pokolenia, nieco starszy ode mnie. Kupiliśmy dwa jego tomy „Skok w dal” oraz „Stance”. To książki z 2016 i 2017 roku. Zachwycaliśmy się stonowaną metaforyką tych wierszy, swobodą, rytmem, melodią... Poeta czytał na spotkaniu swe utwory, opowiadał o okolicznościach ich powstawania, przybliżał klimaty towarzyszące inspiracjom. A potem znowu czytał... Czasem, dla podkreślenia swoich słów, cytował wiersze innych autorów. Słuchało się tego z wielkim zainteresowaniem. Kronhold jest rzeczywiście wspaniałym poetą, co w sposób anegdotyczny potwierdził na zakończenie spotkania dyrektor „Mediateki”. Powiedział mianowicie, że prawdziwi poeci lepiej czytają cudze wiersze niż własne. Rzeczywiście, Kronholdowi czytanie obcych utworów wychodziło wspaniale.

Minęło kilka tygodni gdy, jak co roku, słuchałem plenerowego koncertu piosenki powstańczej, który odbywał się na warszawskim Placu Saskim, Zwycięstwa, obecnie Piłsudskiego. Zbiera się tam osobliwa publiczność, potomkowie warszawiaków, którzy wiele zrobili dla swojego miasta. Dziś o tym nie krzyczą, nie kandydują, nie

obietują. Nie muszą. Znają i tak swoją wartość, swoje zasługi, nie mają więc kompleksów oraz złodziejskich zapędów jak banda niedorozwiniętych hunwejbiniów.

Ludzie zebrani na placu, to jakby inny „gatunek”. Widać kulturę, inteligencję malującą się na myślących twarzach. Patrząc na nich zadawałem sobie pytanie, gdzie oni są na co dzień? Dlaczego nie dominują, nie spychają na peryferie tego całego Neandertalu, który się rozpycha po ulicach. A przecież są. Może mają rację, że nie mieszają się z całą gawiedzią?

Zawsze też podziwiałem język, którym posługują się starsi ludzie. Potrafią artykułować myśli, wypowiadać zdania wyraźnie, z właściwą akcentacją, nieskazitelną dykcją. Nawet jeśli ktoś ma wadę wymowy, to jednak nie bełkocze tak, jak to się często słyszy, nawet z estrady. Szczególnie wzrusza mnie sposób mówienia Powstańców warszawskich, od których przecież już dziś trudno wymagać bezbłędnej artykulacji. A jednak... Pani zapewne także to zauważyła.

Tymczasem dzisiaj istnieje „trynd” (jak mawiali niegdyś politycy minionego okresu, nie gorsi od dzisiejszych) współczesniania języka. Pewni mądrale uważają, że dzisiaj dzieci nie rozumieją tekstów Konopnickiej, Prusa czy innych pisarzy, nawet tych z międzywojnia, ponieważ jest tam wiele archaizmów, słów, zwrotów dzisiaj nieużywanych. Dobrze, ale od czego jest szkoła? To wszystko można wyjaśnić, przybliżyć dzieciom, a może nawet jest to szansa na przywrócenie pewnych słów czy zwrotów mowie potocznej. Ale ogół młodych nauczycieli nie czyta, nie wie co znaczy słowo tudzież, folwark, konkockja, komiliton; kiedy użyć prawidłowo „bynajmniej” albo „spolegliwy” czy „skalp”, który teraz zaczął wyłącznie oznaczać skórę na czubku głowy. Nawiasem mówiąc, zbyt wielu nauczycieli być nimi nie powinno. Ale wciąż mamy dobór negatywny do tego zawodu: niedouków, idiotów, psychopatów, których powinno się z hukiem wyrzucić na bruk i zakazać kontaktów z młodzieżą.

Wracając jednak do tematu: kto ma więc czuć nad trwaniem i historią języka, skoro nawet w tzw. kołach (pseudo)naukowych znalazł się jakiś pęcał, który „uwspółcześnia” Żeromskiego, i chwali się, że z jego powieści wyrzucił wszelkie „tudzieże”. Swoją drogą to karygodna ingerencja w tekst autorski, tekst historyczny. To tak, jakby się znalazł malarzyna, który z matejkowskiej „Bitwy pod Grunwaldem” usunąłby konie i miecze, a domalował czołgi i karabiny. Ale głupota jak Unia – nie ma granic.

By odreagować, znaleźć się w prawdziwie naturalnym świecie, w którym też nikt nie mówi z „nowoczesną”, korpuldkową poprawnością, że idzie dać jeść „psą” albo „kotą”, bo końcówka „om” podobno nie jest „elegancka”; w naturalnym świecie, w ciszy, w głuszy, do której nie docierają podobne kretynizmy, pojechałem z córką Małgosią na Mazury, gdzie cała rodzina przebywała na wakacjach. To był rzeczywiście relaks. Te rozmowy, koncepcje, dowcipy, sytuacje, aranżowane ad hoc... Celował w tym teść

mojej córki, dyrygent, prof. Andrzej Banasiewicz, któremu wiernie sekundowałem, ku rozbawieniu całego towarzystwa.

Ale wszystko ma swój koniec. Trzeba było wracać po dwóch tygodniach przebywania w raju. Znowu codzienność, obskurna rzeczywistość, która pcha się wszystkimi szparami. Czyja to wina? Zapewne kota.

Dosłownie kota. Oto gdy w głąb noc szedłem po ciemku do łazienki, nie chcąc się potknąć o naszego Canona, który lubi kłaść się na samym środku przedpokoju, zrobiłem gwałtowny unik, przy czym straciłem równowagę i z hukiem wpadłem jak długi do pokoju mamy Ani. Nie byłoby w tym nic aż tak oryginalnego i śmiesznego, gdyby nie to, że byłem zupełnie goły, a majtki trzymałem w ręku. Ale szybko się pozbierałem i wybrnąłem z tej sytuacji, ze zręcznością współczesnego polityka... Ciekawe co by było, gdyby kot „wepchnął mnie” do Pani pokoju? Wierzę jednak w Pani poczucie humoru.

Z poczuciem humoru, chociaż w kompletnych ubraniach, odbył się wieczór autorski Anny Marii Musz we wrocławskim Saloniku Trzech Muz. Przyjechaliśmy tam z niejakim opóźnieniem. Akurat w pobliżu wydarzyła się tragedia. Jakiś nożownik zabił kobietę sprzedającą warzywa. Trwała obława, policja zarządziła objazdy. Ale to nie z tego powodu spotkanie odbyło się z owym „poczuciem humoru”...

Powitał zebranych szef Saloniku, Boleśław Lang. Potem Ania przedstawiła mnie, a ja miałem przyjemność przedstawić poetkę i wygłosić małe wprowadzenie. Wyglądało to niczym zabawny rewanż. Pokrótkie opowiedziałem o jej poezji, o ewolucji twórczej, która dokonała się na przestrzeni jej pięciu poetyckich książek. A potem Ania czytała wiersze, prawie każdy opatrując jakimś komentarzem lub anegdotą. Dorzucałem własne trzy grosze, rozbawiając licznych – jak na poetyckie spotkanie – słuchaczy żartami sytuacyjnymi. Trudno je przytaczać z pamięci, zwłaszcza że mam zespół SKS (jakże od Pani daleki!). Skupiona cisza, wybuchy śmiechu, potem znowu nastroj refleksyjny, towarzyszyły całej imprezie, która trwała aż dwie godziny. Nikt się nie wiercił, nie wychodził. Potem podchodzono do nas, dziękowano, rozmawiano na zupełnie innym luzie.

I tak sobie płynie czas. Zbyt szybko. Już październik. Wprost nie do wiary. Czy Pani odczuwa aż dwie godziny? Ale nie poddawajmy się! Płynmy wraz z czasem spokojnie!

Jak zwykle, pozdrawiam Panią serdecznie –

Stefan Jurkowski

